EPOKA

ROK VI. Warszawa, 5 maja 1939 r. ROK VI. Nr 13 (152)

Odpowiedź Polski

„Co się tyczy tego, co p. kanclerz Hitler mówił o Polsce i o sprawach z Polską związanych, — odpowiedź całej Polski jest ustalona i bezsporna: Ani piędzi ziemi! Żadnego pomniejszenia polskich uprawnień i polskiej roli samodzielnej w Europie Środkowej i w Europie Wschodniej".

„Robotnik", organ naczelny Polskiej Partii Socjalistycznej.

„Nie mamy nic do oddawania, ani do ustępowania, pod tym względem nie znajdzie się ani jeden Polak, który by inaczej myślał, czy działał. Wszelkie próby nacisku spotkają się z miejsca z najmocniejszym odporem, nie liczącym się z niczym.

„Ajencja Agrarna", zbliżona do Polskiego Stronnictwa Ludowego.

„Żadne ustępstwo dla nienasyconego germanizmu i imperializmu nie zbliżałoby Europy do pokoju lecz przeciwnie do wojny. Byłoby nie przykładem i zachętą — ale pokusą. Gdyby oddano Niemcom Gdańsk — żądaliby jutro Pomorza a pojutrze Śląska, Poznańskiego, przywrócenia Besselerówki. Gdyby oddano Włochom Tunis — to jutro podżegiwanoby Hiszpanię do ataku na Marokko aby przy tej sposobności oderwać od Francji Algier i Korsykę. I wojna przyszłaby tak czy tak — tylko jeszcze w gorszych warunkach".

„Dziennik Bydgoski", organ Stronnictwa Pracy.

„Jasne jest, że nie mamy nic do dania Rzeszy niemieckiej i że w żadnej sytuacji nie odstąpimy od zamiaru stanowczej obrony naszych praw w Gdańsku i nienaruszalności Pomorza".

„Warszawski Dziennik Narodowy", organ centralny Stronnictwa Narodowego.

„Polska jej napewno nie zacznie. Niech się jednak ani kanclerz Hitler, ani nikt inny nie łudzi, że Polska, po wypowiedzeniu paktu o nieagresji da uśpić się słownym zapewnieniom i przyrzeczeniom i że zmniejszy swe środki ostrożności, swe pogotowie fizyczne i moralne.

Polska bezpieczeństwo swe opiera zawsze na swej sile zbrojnej i ta siła zbrojna będzie nadal naszą najlepszą gwarancją".

„Ilustrowany Kurier Codzienny".

„Tak czy inaczej będzie, trzeba na razie stwierdzić, że odprężenie zależy tylko od wycofania się Niemiec z zajętej wczoraj postawy. A wówczas i rozmowy będą możliwe, choćby dla wyczerpania wszelkich istniejących środków pokojowych".

„Z winy Niemiec weszliśmy już z okresu pokoju w okres zbrojnego pogotowia. Od stanowiska Rzeszy zależy, czy z biegiem czasu rozpocznie się normalizacja stosunków, czy też nastąpi ostateczne ich zakłócenie.

W Berlinie powinni pamiętać o słowach naszego Naczelnego Wodza: Po cudze ręki nie wyciągamy, swego nie oddamy. Ani nawet guzika przy sukni".

„Polska Zbrojna", organ armii.

Każdy faszyzm wrogiem Polski

Jak wiadomo, z pośród trzech mocarstw faszystowskiej osi jedynie hitlerowska Rzesza przejawia bezpośrednie apetyty zaborcze w naszym kierunku. Niebezpieczeństwo faszyzmu, to dla Polski przede wszystkim niebezpieczeństwo imperializmu niemieckiego.

Ani Włochy ani Japonia nie mają w tej części Europy żadnych bezpośrednich interesów, które mogłyby zagrażać niepodległości lub integralności naszej Rzeczypospolitej. Faszyzm italski, który ostatnio zainteresował się nawet losem... Gruzji, w najdalszych swych aspiracjach i w najskrytszych marzeniach swego wodza nie sięga poza Karpaty; ostatnio — chcąc nie chcąc — zrezygnował nawet na rzecz silniejszego przyjaciela z wszelkich skłonności do ekspansji nad Dunajem. Tym mniej realne jest jakiekolwiek zagrożenie naszych interesów ze strony Japonii, oddzielonej od nas całym kontynentem wschodnio-europejskim i azjatyckim.

Są to rzeczy oczywiste, i, zdawałoby się, nader proste. Na tej podstawie przez wiele miesięcy, po monachijskim wstrząsie, pewien odłam publicystyki usiłował przecież wmówić społeczeństwu, że w Mussolinim, w faszystowskiej Italii, Polska znajdzie sprzymierzeńca przeciw rosnącej żarłoczności Trzeciej Rzeszy. Powoływano się na rzekomą samodzielność polityki włoskiej, na jej — przeciwstawne niemieckim — tendencje naddunajskie i bałkańskie, na wspaniałą moc faszystowskiego nacjonalizmu, na łacińską kulturę, na katolicyzm, na tradycyjną przyjaźń itd. Przemilczano skrzętnie, że przecież dyktatura Mussoliniego nie reprezentuje ani łacińskiej kultury ani katolicyzmu ani włoskiej tradycji narodowej. Wolano zapomnieć, że tak nie dawno jeszcze, bo na przedwiośniu 1933 roku, po dojściu Hitlera do władzy, Mussolini był jednym z głównych promotorów poronionego na szczęście paktu czterech, pomyślanego jako wybitnie antypolska kombinacja Niemiec, Włoch, Francji i Anglii.

Ostatecznie powoływano się na brak jakichkolwiek rzeczywistych przeciwieństw między obu państwami, a nawet na pewną zbieżność interesów „geopolitycznych" na południowym stoku Karpat, co miało się przejawiać w przychylnym ustosunkowaniu się Włoch do zagadnienia wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

Tak, to były te najmocniejsze argumenty, za pomocą których polska prasa antydemokratyczna usiłowała wzbudzić sympatie naszego społeczeństwa dla faszystowskich Włoch i — po jaskrawym bankructwie berlińskiej orientacji niektórych ośrodków reakcyjnych — skierować nadzieje „szarego człowieka" w stronę Rzymu. Chodziło o to, by po Monachium i arbitrażu wiedeńskim, gdy „przyjaźń" berlińska ujawniła swą istotną wartość i w społeczeństwie zaznaczył się potężny prąd w kierunku współpracy z państwami pokojowymi i demokratycznymi, przeciwstawić temu prądowi przyjaźń z innym faszyzmem, utrudnić — jeżeli nie uniemożliwić — zbliżenie Polski z światową demokracją w systemie zbiorowego bezpieczeństwa. To był istotny cel prowłoskiej kampanii naszego obozu totalistycznego i antydemokratycznego, aż do ostatka wiernego swym faszystowskim sympatiom. Z tychże przyczyn na łamach wiadomej prasy radośnie wołano **Banzaj** na wiadomość o każdym sukcesie najeźdźców japońskich w Chinach...

Okazuje się jednak, że w bloku ideologicznym, jakim jest faszystowska oś, o polityce całości decydują interesy i dyrektywy głównego partnera i hegemona, decydują imperialistyczne zachcianki Trzeciej Rzeszy. Skoro hitlerowskie Niemcy gniewają się teraz na Polskę o Gdańsk, o autostradę pomorską, o Bogumin, o utrudnienia dla roboty hitlerowskiej na naszych ziemiach — to wystarczy zmarszczenie czoła w Berlinie, żeby Rzym zaczął ujadać na niesfornych Polaków. Jeżeli miarodajne pismo włoskie „karci" nas za to, że nie godzimy się na oddanie Gdańska i na przeprowadzenie eksterytorialnej autostrady przez Pomorze, to czyni to w wyłącznym interesie Niemiec, bo przecież Włochom naprawdę nic na tym nie zależy. W interesie Berlina, na życzenie Hitlera, Goeringa i Ribbentropa, pp. Farinacci, Gayda i kompania ciskają się teraz na Polskę i doradzają jej kapitulację wobec Rzeszy, oddanie imperializmowi niemieckiemu naszych kluczowych pozycyj, niezbędnych dla zachowania niepodległości— pozycyj, bez których Polska przestałaby być tym czym jest! O antypolskiej postawie miarodajnych czynników włoskich decyduje bowiem nie narodowy i państwowy (nawet w sensie imperialistycznym) interes samych Włoch, lecz nakaz Berlina, którego politycznym narzędziem jest oś — ideologiczny blok nacjonalizmów. Sztandar faszyzmu jest sztandarem niemieckiej ekspansji zaborczej, wszystko jedno czy wznoszą go brunatne czy czarne koszule, czy wita go śpiew „Giovinezzy" czy „Horst Wessel-Liedu" czy inny hymn faszystowski w jakimkolwiek języku aryjskim lub niearyjskim.

I mało kto wie u nas, że Japonia od jakiegoś czasu bardzo się interesuje losem... Ukraińców w Polsce! Nie dawno pisał o tym „Kurier Warszawski". W Tokio wydaje się już nawet odpowiednie mapy — jak nie dawno jeszcze w Berlinie i w Wiedniu. Czyżby Japonia miała apetyt na Lwów i Łuck, Stanisławów i Chełm? Chyba nie. W każdym razie nie przed „wyzwoleniem" całej Azji. A to potrwa jeszcze odrobin-

---

Despotyzm, nie zostawiający niewolnictwu żadnego bezpieczeństwa, najokropniejsze razy ludzkości zadaje: wymus, przerażająca ponurość, trwoga, obrazy wielkiego majestatu obsiędą zawsze posępną niewolę, wyzutą z wielu uczuć, nie znającą granic między swą niskością a wielkością despoty...

Joachim Lelewel

kę czasu. Sprawa jest znacznie prostsza. Japonia jako mocarstwo osi nie jest może tak krępująco podporządkowana dyrektywom berlińskim jak Włochy, ale musi jak one podążać za polityką Hitlera, iść mu na rękę, popierać dążenia imperializmu niemieckiego, którym w drodze stoi niepodległość Polski. Bo Japonia jest również częścią składową faszystowskiego bloku ideologicznego.

Nawet małe i słabiutkie Węgry, odkąd przystąpiły do paktu antykominternowskiego i za zgodą Hitlera uzyskały wspólną granicę z Polską, przejawiają nieprzyjazne wobec nas usposobienie. Praca węgierska przemawia od jakiegoś czasu w tonie wyraźnie antypolskim — zgodnie z berlińskimi instrukcjami. Tego wymaga od Węgier międzynarodowa polityka faszyzmu, która i w tym wypadku okazuje się polityką imperializmu niemieckiego.

Rzeczywistość sama zadaje kłam wszystkim, którzy nadal z maniackim uporem, wbrew wymowie faktów, głoszą tezę o zbieżności polskiego interesu narodowego z „nowoczesnym" nacjonalizmem faszystowskim, z antydemokratycznym totalizmem rodzimej i międzynarodowej reakcji. Jak tedy wytłumaczą dziwne na pozór zjawisko, że wszędzie i w każdej sytuacji polityka **każdego** faszyzmu idzie po linii zaborczych interesów niemieckich, godzi w całość i niepodległość Polski?

Ludzie ci nie chcą zrozumieć, a może tylko nie chcą przyznać, że drogą narodu polskiego jest droga wolności i demokracji, że zbiorowa samoobrona Europy i świata przed zaborczym pochodem faszystowskiego totalizmu leży w najistotniejszym, narodowym interesie naszej Rzeczypospolitej. Że ścisła współpraca z wszystkimi państwami, zainteresowanymi w zahamowaniu teutońskiej ekspansji, kroczącej pod sztandarem „nowoczesnego" nacjonalizmu, jest nader ważnym współczynnikiem naszej mocy obronnej. Że każdy faszyzm jest wrogiem Polski.

Dekada polityczna

Rzesza gra na szantaż.

Dekada ubiegła stała przede wszystkim pod znakiem mowy kanclerza Hitlera. Zresztą niesłusznie, bo, jak trafnie zauważył Winston Churchill, chodzi nie o słowa, tylko o czyny dyktatorów, a te czyny są oddawna znane i wiadomo dokąd zmierza następna ich transza.

Mimo wszystko — skoro większość opinii koncentrowała swą uwagę na dacie 28 kwietnia, to i my musimy od niej zacząć. W mowie kanclerza Hitlera umiejętnie powiązane zostały elementy wyraźnej groźby wojennej z przyjaznymi ukłonami pod adresem monachijczyków. Te ostatnie były zresztą o wiele słabsze niż groźby. Rzesza gra w tej chwili na wzmaganie napięcia, na zaostrzanie stosunków, na szantaż wojenny, nie zaś na przyjazne rozmowy. To jest zasadnicza treść mowy.

Skoro tak jest, pozostaje niezmienione i zasadnicze zadanie: skupienie pod znakiem obrony pokoju maksymalnej liczby państw, scementowanie ich sojuszu, wykruszenie, o ile to jest tylko możliwe, poszczególnych wasalów z systemu osi napastniczej. Niestety, osiągnięcia ubiegłej dekady są tu raczej negatywne niż pozytywne. Główny sukces sprawy pokoju, to fakt, że nie udało się włączyć Jugosławii definitywnie do systemu osi, że przeciwnie, wzmagają się szanse utrzymania jej po stronie wolności i pokoju. Poza tym nie wiele zaszło nowego, a to już oznacza stratę tempa. Pertraktacje francusko-angielsko-sowieckie przeciągają się nadal. Wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej w Anglii stanowi wprawdzie krok naprzód, ale metody, przy pomocy których zostało ono dokonane, przyczyniły się do rozbicia jedności angielskiego stronnictwa oporu i nasuwają poważne wątpliwości co do jego właściwego celu.

W rezultacie: oś na razie jest nadal w ataku, a na Zachodzie walka między stronnictwami kapitulacji i oporu nie została dotąd rozstrzygnięta; kapitulanci utrzymują się na pozycjach, choć muszą się cofać krok za krokiem pod naciskiem opinii swego kraju.

Grom i lutnia.

Przewidywaliśmy, w poprzedniej dekadzie, że kanclerz Hitler, odrzucając de facto propozycje prezydenta Roosevelta, nie będzie równocześnie szczędził komplementów swym monachijskim przyjaciołom. Liczyliśmy się równocześnie z możliwością, że gdyby sondowania w stolicach Zachodu wykazały nastroje zbytnio nieprzyjazne, spróbuje uderzyć gromem wieszczącym bezpośrednio burzę. Rzeczywistość przyniosła nam swoistą kombinację obu tych elementów. Widać, wieści z Londynu, Paryża i Warszawy nie były zbyt przyjemne dla dyktatora Trzeciej Rzeszy, bo podstawową nutą mowy była groźba przechodząca raz po raz w najgniewniejsze tony. Kanclerz rzucał gromy na Warszawę i angielską „politykę okrążenia", szydził i złośliwie naigrawał się z Roosevelta, ale po przez melodie burzy raz po raz przedzierały się tony inne, tony czułej, na lutni wygrywanej, piosenki pod adresem starej i niezapomnianej miłości: reakcji angielskiej, tej reakcji, która tyle razy pomogła już kanclerzowi Trzeciej Rzeszy.

Mimo wszystko gniew przeważa.

Jedyne konkretne fakty, jakie przyniosła mowa kanclerza, posiadają charakter, by użyć tego określenia, moralnej, dyplomatycznej agresji: zerwanie umowy polsko-niemieckiej z r. 1934 i angielsko-niemieckiego porozumienia morskiego. Mówimy agresji, bo trudno inaczej jak agresją nazwać jednostronne zerwanie umów, zawartych dobrowolnie, przewidujących konkretne terminy wypowiedzenia, względnie drogi rozwiązania, zerwanie, następujące wbrew wszystkim postanowieniom tych umów. Nie będziemy tu oczywiście polemizowali z wywodami kanclerza. Sprowadzają się one w gruncie rzeczy do tego, że Rzesza ma prawo anulować swe zobowiązania, kiedy to jest jej wygodne i kiedy ma

ŻĄDAJCIE „EPOKI" WE WSZYSTKICH KIOSKACH GAZETOWYCH, W CZYTELNIACH I KAWIARNIACH

na to ochotę. Mówimy z drugiej strony o agresji dyplomatycznej, moralnej, bo trudno przypuszczać, by zaraz po wypowiedzeniu umów mogły nastąpić konkretne akcje napastnicze; mimo wszystko tym razem obiekty są poważniejsze, uzbrojone, a Rzesza, jak dotąd, atakowała dopiero opuszczone okopy. Ale nie wolno również ulegać nastrojom zbytniego bezpieczeństwa. Mowa kanclerza niewątpliwie wskazała linię nacisku Niemiec w najbliższych miesiącach. Tylko maksymalna czujność może sparalizować ten nacisk.

Dźwięki lutni też mają swój cel, bynajmniej nie sprzeczny z akordami gniewu. Jeśli akty agresji moralnej — a zaliczamy do nich, obok wypowiedzenia obu umów, także groźbę rzuconą pod adresem Francji, że jeśli przeciwstawi się ona Niemcom, Rzesza postawi na nowo sprawę Alzacji i Lotaryngii — mają służyć do zastraszenia przeciwników, do odstraszenia chwiejnych i wahających się, to akordy miłosne mają inny cel: odciągnięcia od upatrzonej na najbliższą ofiarę Polski, jej sojuszników i przyjaciół. Konkretnie: chodzi o skłonienie monachijczyków angielskich, by odegrali wobec Polski tę rolę, którą w roku zeszłym odegrali wobec Czechosłowacji. Chodzi o rozbicie, rękoma Chamberlainów i Simonów, polsko-angielskiego paktu wzajemnej pomocy. „Mowa kanclerza — pisze słusznie liberalna „News Chronicle" — stanowi wyjątkowo subtelny manewr, zmierzający do uspokojenia Anglii przy równoczesnym zagrożeniu Polski, a więc w ten sposób — do wbicia klina pomiędzy oba państwa".

Astorowie przy robocie.

Pakt angielsko-polski jest jasny i wyraźny: daje on w ręce Polski decyzję nad tym, co jest zagrożeniem jej życiowych interesów i jej niepodległości. Sam fakt wystąpienia Polski z bronią w ręku stanowi dostateczną podstawę do zażądania zbrojnej pomocy Wielkiej Brytanii. Zostało to stwierdzone wielokrotnie w parlamencie brytyjskim. Stwierdza to obecnie, jasny i wyraźny, wydany już po mowie Hitlera, komunikat brytyjskiego Foreign Office. W tym względzie sytuacja jest jasna i wyraźna.

Ale nie znaczy to, by hitlerofile brytyjscy rzeczywiście zrezygnowali już ze swych wysiłków. Zbyt poważne interesy są tu w grze. Zarówno Rotszyldowie, jak też Astorowie, Guinessy i Kesslerowie mobilizują wspólnie wszystkie siły, by raz jeszcze uratować bohatera, który strzeże setek milionów funtów, ulokowanych w niespokojnej Europie Środkowej. Kampania monachijska w Anglii trwa.

Wypowiedzenie paktu morskiego powinno było przynajmniej pociągnąć za sobą odwołanie ambasadora, który pomimo serdecznej przyjaźni ze wszystkimi niemal dygnitarzami brunatnego reżymu nie potrafił mu zapobiec, ani nawet go przewidzieć.

Jako ambasador brytyjski pojechał do Waszyngtonu lord Lothian, dawniej Sir Philipp Kerr. Jest to nominacja wysoce charakterystyczna. Bo tak się składa, że lord Lothian jest czołowym ideologiem Cliveden Setu, najbliższym przyjacielem politycznym Lady Astor. To on ponoć pisał słynny artykuł „sudecki" Timesów, ten artykuł, który stał się punktem wyjścia kampanii monachijskiej. Świetny przedstawiciel Wielkiej Brytanii wobec prezydenta Roosevelta!

Trzeba to powiedzieć bardzo wyraźnie, powtarzać ciągle i bez wytchnienia, że Polska sama wie, co stanowi jej życiowe interesy i gwarancje jej niepodległości, że dziękuje ona, jeśli idzie o te sprawy, za najżyczliwsze rady angielskich lordów.

Dwie strony brytyjskiej „konspiracji".

Tej naszej nieufności nie zmienia bynajmniej fakt wprowadzenia służby wojskowej w Anglii. Niewątpliwie, „konskrypcja" angielska posiada duże znaczenie: przede wszystkim znaczenie bardzo ostrej demonstracji przeciw ostatnim pociągnięciom Berlina i Rzymu. Choć z bólem serca wypada nam popierać p. Chamberlaina przeciw większości lewej opozycji angielskiej, trzeba stwierdzić, że w tym wypadku właśnie on, a nie Attlee, ma rację. Stwierdza to zresztą, w „Populaire", również Leon Blum, nazywając wprowadzenie służby wojskowej w Anglii jednym z tych zarządzeń, które mogą mieć decydujące znaczenie dla utrzymania pokoju światowego. Świadczy o tym zresztą i wybuch gniewu, z jakim ta „konskrypcja" angielska została przyjęta przez prasę osi.

Trzecia Rzesza usiłuje izolować Polskę, rozerwać sojusze Rzeczypospolitej z Anglią i Francją.

Jeden tylko jest sposób na pokrzyżowanie hitlerowskich planów; jedna tylko jest droga umocnienia więzów, łączących nas z Zachodem: spokojna, skoncentrowana wola obrony Polski, gotowość bez względu na wszelkie groźby i rzekomo przyjacielskie rady, do przeciwstawienia się zbrojną ręką, własnymi siłami, każdemu zamachowi na całość i niepodległość Rzeczypospolitej.

Z ostatniej chwili

Po Exposé Ministra Becka

Stanowisko społeczeństwa polskiego wobec osobliwych żądań kanclerza Rzeszy jest zupełnie wyraźne. Polska pod żadnym pozorem nie da się odepchnąć od Bałtyku, nie zrezygnuje z swych żywotnych praw u ujścia Wisły, nie pozwoli na wcielenie Gdańska do Niemiec, nie zgodzi się na poprowadzanie przez Pomorze „eksterytorialnej" autostrady i kolei żelaznej do Prus Wschodnich. Społeczeństwo nasze rozumie, że przyjęcie którejkolwiek z tych „propozycyj" berlińskich oznaczałoby rezygnację z naszej niezależności politycznej i gospodarczej, byłoby brzemiennym w następstwa wyłomem w całokształcie naszych praw suwerennego państwa, postawiłoby pod znakiem zapytania niepodległość Rzeczypospolitej. Wszelkie takie i tym podobne „sugestie" odrzucamy w sposób jak najbardziej stanowczy. Wszelką próbę wymuszenia ustępstw za pomocą siły — zdecydowani jesteśmy siłą odeprzeć.

A jednak... Nie możemy się wyzbyć pewnej nieufności. Nie chodzi tu nam o — niezbyt zresztą wielką — wartość militarną ustawy poborowej. Początki są zawsze trudne. Chodzi nam o coś innego: o atmosferę w jakiej ta ustawa została wniesiona, o metody, przy pomocy których ją przeforsowano, o akuszerów, którzy ją powołali do życia.

Przypomnijmy sobie miniony rok. I wtedy Mr. Chamberlain grzmiał, że przeciwstawi się próbom panowania nad światem. I wtedy gorączkowo kopano rowy i schrony przeciwlotnicze w parkach londyńskich, rozdawano maski lotnicze, które zresztą przeważnie były popsute. Później dopiero dowiedzieliśmy się po co to było robione: by stworzyć „war scare", panikę wojenną, i potem, kapitulując przed napastnikiem, powrócić do domu w aureoli zbawcy pokoju. Czy niektórym monachijczykom, niektórym może nawet ministrom, nie uśmiecha się powtórzenie eksperymentu zeszłorocznego?

Oczywiście, tym razem same schrony i maski już nie wystarczyłyby. Trzeba było mocniejszego zastrzyku: kto wie, czy właśnie „konskrypcja" nie ma stać się takim zastrzykiem? Wiele okoliczności przemawia za tym właśnie przypuszczeniem: wprowadzenie przymusowej służby wojskowej było świetną sposobnością dla rozbicia na dwie przeciwstawiające się sobie grupy angielskiego stronnictwa oporu: Churchill i Lloyd George, antyosiowi konserwatyści i spora część skrajnej lewicy wypowiedziała się za konskrypcją, Attlee i Sinclair, większość opozycyjnych liberałów i większość Labour przeciwko niej. Jest to plus o bardzo doniosłym znaczeniu dla monachijczyków. Po drugie zastanawia okoliczność, dlaczego nagle na konskrypcję nawrócił się, sprzeciwiający się jej do ostatka, Sir John Simon, głowa hitlerofilów w gabinecie. W r. 1917, w największej gorączce wojny, ustąpił on z gabinetu, byle nie głosować za przymusową służbą wojskową. Czyżby teraz otrzymał zapewnienie, że przymusowa służba wojskowa posłuży jedynie do określonego manewru? Jeszcze dziwniejszym jest entuzjazm konskrypcyjny organów już nie monachijskich tylko, a wręcz berlinternowskich: taka „Daily Mail", organ lorda Rothermere, której korespondent Ward Price jest przybocznym Anglikiem Hitlera i Mussoliniego, taki „Daily Express" Beaverbrooka, organ izolacjonistów, który jedyny w całej prasie angielskiej zastrzegł się przeciw gwarancjom dla Polski, nagle zachwycają się służbą wojskową. Przypomina nam to nicco anty-hitlerowskie wybuchy „Times" — bezpośrednio przed konferencją monachijską.

Zasługuje też na uwagę stanowisko takiego niewątpliwego przedstawiciela stronnictwa oporu, a równocześnie przedstawiciela kół wojskowych angielskich, jak Winston Churchill. Wypowiadając się za ustawą, której konieczność głosił oddawna, nie ukrywał on bynajmniej, że cała sprawa jej nagłego uchwalenia wydaje mu się niezbyt w porządku. „Łatwiej mi — powiedział dosłownie — bronić zarządzeń rządu w tym wypadku, niż metod, przy pomocy których te zarządzenia są realizowane". To zastrzeżenie Churchilla ma, rzecz jasna, swoją wagę, zwłaszcza jeśli uwzględnić, że poczynione ono zostało w chwili, kiedy rząd brytyjski realizował jeden z najważniejszych postulatów Churchilla.

Mimo tego — niesłusznie większość brytyjskiej opozycji lewicowej odrzuciła ustawę poborową. Nie można bowiem w chwili takiej jak dzisiejsza uzależniać zaakceptowania zarządzeń słusznych i potrzebnych jedynie z braku zaufania do ich przyszłych wykonawców. Trzeba — i należy — walczyć o postawienie na miejsce tych wątpliwych wykonawców, wykonawców pewnych i uczciwych. Trzeba i należy walczyć o rozszerzenie tych zarządzeń — zupełnie słusznie Labour Party żąda przymusowego poboru nie tylko rekruta, ale i daniny od kapitału, ofiar nie tylko ludu, ale i finansistów. Ale realizacji tego, co można zrobić już dziś, nie wolno uzależniać od spełnienia żądań dalej idących. Nie wolno tego spełnienia stawiać jako conditio sine qua non, jako żądanie, bez uwzględnienia którego odmawia się wszelkiej współpracy. Ustawa o poborze — mimo ciemnych kombinacji, jakie, być może, wiąże z nią w skrytości ducha monachijska klika, była potrzebna, była słuszna i należało za nią głosować.

Coraz dalej od nowego Monachium. Bo — nigdy nie będziemy powtarzać tego za często — zmieniło się dużo od września 1938 r. Dużo wody spłynęło w dół Tamizy i dużo tanków niemieckich przetoczyło się przez ulice Złotej Pragi. Ten ostatni fakt ma szczególnie doniosłe znaczenie. Bo wykazał on, wykazał w sposób jak najjaśniejszy i jak najbardziej niewątpliwy, że hitleryzmu nie sposób głaskać ustępstwami. Wykazał on — przede wszystkim tym, co dotąd wahali się w dobrej wierze — że nie można ratować pokoju, karmiąc faszystowskie lwy ludzkim mięsem. To nie dla swojej przyjemności p. Chamberlain musiał przekreślić deklarację angielsko-niemiecką, z którą związał przed tym swą reputację polityczną. Nie dla przyjemności odwiedził tę „jaskinię rozbójników", jaką dla konserwatywnego premiera Wielkiej Brytanii, męża zaufania City musi być sowiecka ambasada. Nie dla przyjemności zgodził się na ministerstwo uzbrojenia. Nie dla przyjemności udzielił gwarancji Polsce, Rumunii i Grecji, związał się, już formalnym, sojuszem wojskowym z Francją, którą chętnie poświęciłby Hitlerowi, przyrzekł bronić całą siłą Imperium Brytyjskiego Szwajcarii i Holandii, Belgii i Danii. Zrobił tak, bo musiał, bo inaczej zrobił by to zamiast niego ktoś inny, bardziej szczery w swej gotowości oporu. To znaczy — w świadomości społeczeństwa angielskiego, podobnie jak społeczeństwa francuskiego dojrzewa głęboki przełom duchowy, przełom w stronę stronnictwa oporu. Tylko ustępując krok za krokiem pod jego naciskiem utrzymują się na powierzchni Chamberlainowie i Bonnetowie.

Ustępstwa ich są nieszczere, za ich mocnymi gestami kryją się kapitulanckie zamiary. To prawda. Ale prawdą także jest, że nie ich zamiary, nie ich dobre, czy raczej złe chęci decydują o ich polityce. Decyduje rzeczywistość polityczna i świadomość całego społeczeństwa. Tam, gdzie ta świadomość polityczna dojrzała w pełni, pozostaje im tylko se

Przez wiek cały los Polski związany był z losem wolności europejskiej. Dziś z niepodległością Polski wiążą się losy Europy.

demettre, poddać się żądaniom ogółu albo odejść. Na razie poddają się, kawałkami i niechętnie. Przyjdzie czas, kiedy to nie wystarczy, kiedy będą musieli pójść. Chyba, że stronnictwo oporu popełni jeszcze szereg katastrofalnych błędów, takich jak głosowanie przeciw przymusowej służbie wojskowej. Ale i w tym wypadku nie uda się doprowadzić do kapitulacji.

We wrześniu 1938 r. Czechosłowacja, nawet gdyby się była broniła, byłaby prawdopodobnie pozostawiona swemu losowi. W lecie 1939 r. ten, kto stanie zbrojny do walki z hitlerowską ekspansją, może być pewny, że, w ciągu krótkiego stosunkowo czasu, narody francuski i angielski zmuszą swe rządy do wykonania traktatowych zobowiązań.

Jeśli, mimo monachijskich manewrów Simona czy innego Hoare'a, wierzymy, że od stanowiska samej Polski zależy zahamowanie brunatnej fali, to powołujemy się bynajmniej nie tylko na sentymenty i nastroje. Nasze przekonanie opiera się tutaj na trzeźwej, realnej ocenie interesów, wchodzących tu w grę. Większość wielko - finansowych kół Zachodu straciła już wiarę, uporczywie podtrzymywaną przez kliki hitlerowskie, że uda się brunatny pochód skierowany na Wschód, nad Dniepr i Don. Zdają one sobie sprawę, że atak na Polskę jest wstępem do ataku na mocarstwa zachodnie, że gdyby udało się rozbroić Polskę, przyszłaby kolej na kolonie, na Holandię, na Alzację i Lotaryngię. To jest powód zasadniczej zmiany kursu wielu dotąd neutralnych wobec monachizmu kół wielko-finansowych Zachodu, to jest przyczyna, dla której stronnictwo oporu znajduje oddźwięk nie tylko w rzeszach ludowych, ale i w gabinetach możnych świata tego. Nie są to, być może, motywy sympatyczne. Ale w tej chwili mniejsza o motywy. Ważny jest fakt; ważne jest przeciwstawienie się pochodowi brunatnego barbarzyństwa.

Włochy u boku Hitlera.

Na razie jednak „oś" rozpoczyna ogień. Ogień na razie — tylko prasowy. Nie będziemy tu cytować obszernie prasy niemieckiej. Kto czytał memorandum niemieckie do rządu Rzeczypospolitej, ten zna również dziesiątek artykułów wstępnych, pisanych pod dyktando p. Goebbelsa w poszczególnych redakcjach niemieckich. Zatrzymamy się za to obszerniej przy reakcji prasy włoskiej.

Dotąd jeszcze pewne reakcyjne grupy w Polsce usiłują wmówić opinii polskiej, że Włochy oddalają się, szczególnie w sprawach, dotyczących Polski, od Rzeszy, że umieją one zrozumieć stanowisko Polski. Właśnie dlatego trzeba zacytować parę ustępów prasy, komenderowanej przez p. ministra Ciano, naszego niedawnego, tak mile witanego gościa.

Jeszcze przed mową Hitlera pisała np. rzymska „Gazetta del Popolo". „Nie wolno zapominać, że granice wschodnie Rzeszy uważane były zawsze przez cały świat za jedną z największych niesprawiedliwości traktatu wersalskiego. Nie można zaprzeczyć, że Niemcy przedłożyły Polsce propozycje więcej niż rozsądne: powrót Gdańska do Niemiec, budowę autostrady przez korytarz (Pomorze — przyp. Red. „Epoki"), gwarantowanie przez Rzeszę granic polskich na przeciąg 25 lat. Polska odpowiedziała mobilizacją... Czy to mądrze? Jakie byłoby usprawiedliwienie moralne dla wojny, prowadzonej przeciwko powrotowi niemieckiego miasta do Niemiec?".

Również przed mową Hitlera półurzędowe „Relazioni Internazionali", tygodnik włoskiego M.S.Z-u, ośmielały się nazwać porozumienie anglo-polskie „stwarzaniem warunków politycznych dla nowego rozbioru Polski". Los państw wschodnio i środkowo-europejskich — pouczał nas organ naszego niedawnego gościa — jest na zawsze związany z osią.

Organ włoskiego ministra oświaty, p. Bottai, „Critica Fascista", nawoływał wręcz do ataku na Polskę, pisząc: „Mocarstwa osi muszą zneutralizować swój front wschodni. Trzeba zneutralizować ogniska niebezpieczeństwa na Wschodzie, a niepewnych przyjaciół postawić w takich warunkach, by wszelka myśl rozluźnienia stosunków z osią wydała się im niecelową".

Czy można się dziwić, że po takim przygotowaniu, bezpośrednio po mowie Hitlera „Popolo di Roma" oświadcza: „Rewindykacje niemieckie nie dotyczą ziem nie zamieszkałych przez Niemców, lub takich, jakie nie należały do Niemiec przed wojną... Problemy korytarza i Gdańska muszą być rozwiązane. Polska odrzuciła propozycje Hitlera. W ten sposób Polska postawiła się w sytuacji podobnej do Czechosłowacji, która także wszystkiemu odmawiała".

Cyż można się dziwić, że, nawet przez astorowskie „Times"-y uznana za „nikczemny manewr", bujda o rzekomej nocie angielskiej, namawiającej rzekomo Polskę do ustępstw wobec Rzeszy, puszczona została w świat właśnie przez... urzędową włoską ajencję Stefani?

Dziwić się należy natomiast temu, że cała nasza prasa reakcyjna nadal powtarza, że stanowisko Włoch jest inne, niż stanowisko Niemiec, że Włochy zachowują się wobec Polski zupełnie poprawnie.

Głos serca jest widać mocniejszy nawet od głosu rzeczywistości.

Franco i Horthy powtarzają pacierz za Hitlerem.

Nie to jedno złudzenie, hodowane przez naszych hitlerofilów i faszystofilów, pryska w ogniu dzisiejszej próby. Ileż to jadu straciły wszystkie organy naszej reakcji w „piętnowaniu" sympatii demokracji polskiej dla Republiki Hiszpańskiej. Ileż to czerni drukarskiej zużyto na drukowanie zachwytów nad nową, odrodzoną, czyli, po prostu, faszystowską Hiszpanią! I dzisiaj ta „narodowa" Hiszpania źle się odwdzięcza swym polskim entuzjastom. Cała prasa frankistowska staje po stronie Hitlera, wychwala jego „wspaniałą" mowę.

Kto nie pamięta legend, jakie szerzyły nasze „Małe Dzienniki" i inne „Orędowniki" o gen. Moscardo, „lwie Alkazaru" (to jego legendarne bohaterstwo polegało na tym, że zamykając się w fortecy zabrał ze sobą w jasyr kobiety i dzieci z pobliskich dzielnic robotniczych i w ten sposób szantażował oblegających republikanów, powstrzymując ich od bombardowania Alkazaru). Ten to bohater wszystkich oenerów bawi obecnie w Berlinie. W wywiadzie, jakiego udzielił prasie niemieckiej, oświadczył m. in. „Ślepa wiara w Führera, którego oby Bóg chronił jeszcze przez długie lata, będzie, będzie wzorem dla nowej Hiszpanii". Którego oby Bóg chronił jeszcze przez długie lata... Nie wątpimy, że polscy wielbiciele gen. Moscardo podzielają te jego życzenia i poszlą mu w podziękowaniu drugą złotą szpadę....

DEMOKRACJA POLSKA PRZEZ WIEK CAŁY WALCZYŁA „ZA WOLNOŚĆ NASZĄ I WASZĄ". DZIŚ FASZYZM WALCZY „ZA WASZĄ I NASZĄ NIEWOLĘ".

Nie mniejsze powinno być rozczarowanie naszej prawicy zachowaniem ich węgierskich „braci“. Bo oto właśnie w chwili, gdy Trzecia Rzesza zrywa brutalnie traktat z Polską, występuje przeciw życiowym interesom Polski, bracia i przyjaciele węgierscy siedzą tygodniami w Berlinie. Ponoć, omawiają tam przyłączenie do Węgier „niepodległej“, zagwarantowanej przez Niemcy Słowacji... Oczywiście wzamian za pewne ustępstwa natury politycznej i gospodarczej. Ma tam być, m. i. unia celna z Rzeszą, zupełny Glajchszaltung polityki zagranicznej. „Wiekowa przyjaźń polsko-węgierska“, o której nam tyle opowiadano, zdaje się nie jest — dla Węgrów przynajmniej — tak wiele warta. Gotowi ją sprzedać za parę słowackich powiatów. Innymi słowy: nasze wątpliwości co do roli węgierskich feodałów okazały się w pełni usprawiedliwione.

Zakarpacie znowu aktualne.

Ta sprawa feodałów węgierskich nie interesowałaby nas znowu tak bardzo, gdyby nie okoliczność, że dzięki intensywnym wysiłkom naszej polityki zagranicznej posiadamy z Węgrami wspólną granicę. Nie dlatego, byśmy poważnie brali niebezpieczeństwo, jakie grozić nam może ze strony armii węgierskiej, która w ciągu kilku tygodni nie mogła dać sobie rady z paroma tysiącami źle uzbrojonych siczowców. Chodzi o coś innego: oto Zakarpacie tą pośrednią drogą może znaleźć się znowu w dyspozycji niemieckiej.

Są pewne znaki na niebie i na ziemi, że okoliczność ta może być wkrótce wykorzystana. Zwróćmy uwagę, że, w ciągu całej swej mowy, kanclerz Hitler mówił stale i systematycznie o Karpackiej Ukrainie, nie o Karpackiej Rusi, jak brzmi urzędowa, węgierska terminologia. Prasa emigracyjna niemiecka donosi, że ukraińscy emigranci z Zakarpacia, którzy pierwotnie byli przyjęci dosyć chłodno w Rzeszy, zostali obecnie ściągnięci z powrotem z obozów pracy, w jakich ich umieszczono, uzbrojeni i zorganizowani w formie Legionu. Legion ten skoncentrowany jest w Raciborskim, gdzie na razie zajmuje się teroryzowaniem miejscowej ludności polskiej (powiat raciborski, powiat ojczysty Arki Bożka, to jeden z najbardziej polskich powiatów Śląska Opolskiego). Ksiądz Wołoszyn przyjechał do Berlina, gdzie już nań oczekiwali dwaj dalsi „ministrowie“ jego „rządu“, pp. Rewaj i Komarynski. W hotelu zapisał się jako „Prezydent Karpackiej Ukrainy“.

To wszystko ma swoje znaczenie. Kto wie, czy nie o tym właśnie rozmawiają tak długo i serdecznie pp. Csaky i Teleky w gmachu Auswärtiges Amt. Ostatecznie warto zrezygnować z madziaryzacji paru dolin karpackich, jeśli zato ma się dostać Siedmiogród, Słowację i Banat... Polityce polskiej nie wolno spuszczać z oka karpackiej granicy.

Jugosławia nie poddała się osi.

Jeśli zachowanie się Węgier i Hiszpanii wykazało dowodnie, że, zgodnie z przewidywaniami całego niemal obozu demokratycznego, oba te państwa, ściśle mówiąc, rządu obu tych państw są w zupełności na usługach Berlina, to w Jugosławii, znowu zgodnie z przewidywaniami obozu demokratycznego, akcja osi napotyka na rosnące trudności.

Pisaliśmy już swego czasu o nowym rządzie jugosłowiańskim, którego zadaniem miało być stworzenie jakiegoś przejścia pomiędzy erą półtotalistycznych, filo-osiowych rządów Stojadinowicza, a jakąś nową polityką, zmierzającą do demokratyzacji ustroju wewnątrz kraju i orientacji polityki zagranicznej Jugosławii na ścisłą współpracę z Zachodem.

Demokratyzacja ustroju znalazła się na dobrej drodze: w ostatnich dniach doszło do zawarcia umowy pomiędzy premierem Cwetkowiczem a wodzem ludowców kroackich Maczkiem. Podług informacji prasy zachodniej umowa ta przewiduje daleko idącą demokratyzację kraju i wejście do rządu przedstawicieli ludowców kroackich. Ta zmiana, jeśli dokona się rzeczywiście, może mieć decydujące znaczenie i dla polityki zagranicznej tego kraju.

W dziedzinie polityki zagranicznej na razie sytuacja jest gorsza. Nie darmo pozostała ona w rękach p. Markowicza, byłego posła p. Stojadinowicza w Berlinie. P. Markowicz sprawił, że Jugosławia przyjęła bez oporu najazd włoski w Albanii, pogarszający poważnie jej własną sytuację strategiczną. P. Markowicz jeździ do Rzymu i Berlina, zapewniając dyktatorów o swej sympatii dla nich. Ponoć czyni to nie bez poparcia regenta, ks. Pawła. Ale nawet p. Markowicz nie mógł spełnić życzeń osi: nie mógł przystąpić do paktu antykominternowskiego, nie mógł zgodzić się na zerwanie sojuszu z Rumunią. Mimo uprzejmych słów, skierowanych pod adresem Jugosławii w mowie Hitlera, prasa niemiecka nie ukrywa swego niezadowolenia z „chwiejności“ p. Markowicza.

Ostatnie telegramy prasy polskiej donoszą, że ks. regent Paweł odrzucił projekt ugody serbsko-chorwackiej, podpisany przez Cwetkowicza i Maczka. Jeśliby to było prawdą, byłby to owoc bezpośredniej inspiracji berlińskiej, zapowiadający włączenie Jugosławii w system osi.

Trudno przypuścić, by dało się to uczynić bez bardzo poważnych trudności. Pamiętajmy, że narody Jugosławii czuły już na własnej skórze jarzmo węgierskie i niemieckie, że Włosi od wieków są ciemiężcami słowiańskich plemion swego pogranicza. Niechęć do Włoch, Niemiec i Węgier, jest co najmniej tak silna w społeczeństwie jugosłowiańskim, jak sympatie do mocarstw Zachodu. Nie zmieni tego fakt skazywania na wielomiesięczne więzienie najbardziej bojowych przeciwników orientacji osiowej, jak to uczyniono ostatnio z kierownikiem serbskiego stronnictwa ludowego, prof. Jowanowiczem. Tydzień temu dopiero, pół-milionowy związek sokolski Jugosławii demonstrował przeciw mocarstwom osi, demonstrował swą gotowość stanięcia każdej chwili w obronie niepodległości kraju. Tydzień temu, również, wiec młodzieży akademickiej w Belgradzie, zwołany przez wszystkie organizacje młodzieży, przy udziale ponad 10 tys.

Od Wydawnictwa

Abonentów,
którzy
zalegają
z opłatą prenumeraty za
kwartał ubiegły i bieżący
prosimy
o uregulowanie
należności.

studentów, żądał zdecydowanej zmiany polityki zagranicznej. W sztabie jugosłowiańskim wielu jeszcze zostało przeciwników „orientacji włosko-niemieckiej“.... Jawne przyłączenie się do osi mogłoby reżym ks Pawła narazić na duże, bardzo duże nieprzyjemności...

Stanowisko Polski. Znowu Polska cieszy się popularnością na szpaltach prasy światowej. Znowu piszą o nas niemal codziennie wszystkie wielkie organy opinii świata.

Staraliśmy się, w poprzednich uwagach, pisać prawdę o naszym położeniu międzynarodowym. Pisać prawdę, nawet gdyby ona była mniej przyjemna. Bo sądzimy, że w chwilach wielkich lepiej jest, jeśli naród zna całą prawdę od początku, aniżeli kiedy ta prawda uderza weń właśnie wtedy, kiedy się jej najmniej spodziewa.

Ale właśnie dlatego uważamy za swój obowiązek powiedzieć teraz na zakończenie, że położenie międzynarodowe Polski nie jest złe. Niewątpliwie, czekają nas różne intrygi i zaskoczenia, próby zastraszenia i próby wciągnięcia w pułapkę. Nie wolno nam ulec żadnej z nich. Nie wolno nam dawać posłuchu takim czy innym kampaniom, organizowanym i podejmowanych przez świadomych lub nieświadomych agentów Berlina. Ale jeśli będziemy stali na wysokości chwili — wyjdziemy zwycięsko z obecnej próby.

Trzeba na to przede wszystkim jednego: abyśmy liczyli przede wszystkim i głównie na własne siły, byśmy ani przed groźbą wroga, ani wobec „życzliwych rad“ rzekomych przyjaciół, nie ustąpili ani jednej litery swych praw. Trzeba, abyśmy mówili całemu narodowi prawdę o jego położeniu, abyśmy dla obrony całości i niepodległości Rzeczypospolitej wzmocnili jej związek z żywymi siłami narodu: z wielkimi ruchami masowymi ludu polskiego. Trzeba, abyśmy potrafili, utrzymać już zawarte i rozbudować nowe sojusze obronne, abyśmy potrafili, swą polityką i planową propagandą pokrzyżować akcję wroga, zmierzającą do rozerwania tych sojuszów. I wreszcie — ostatnie, ale równie ważne, jak każde z poprzednich — trzeba, aby ani na chwilę nie osłabła straż nad granicami Rzeczypospolitej, sprawowana przez zbrojne ramię państwa, przez żołnierza polskiego.

Zakłopotany totalizm

Złamane serce. Niedawno czytaliśmy w „Warszawskim Dzienniku Narodowym“ długie rozważania, których celem było udowodnienie, że Polska, nawet przeciwstawiając się ekspansji Berlina, powinna jednak trwać przy ideologii „narodowej“, czyli totalistycznej, że powinna strzec się „demo-liberalnej zarazy“, idącej z zachodu. „Bardziej niż wszystkiego innego — czytaliśmy tam dosłownie — boimy się „wielkich demokracji“, ich wiary, ich ideologii“.

Ten głos stosunkowo najmniej poddającego się berlinternowskiemu urokowi odłamu naszej reakcji charakteryzuje bodaj najlepiej dylemat, w jakim znalazł się obóz „narodowy“. Od lat zwolennicy jego słyszeli, że właśnie zwycięski pochód totalny dynamizmu toruje drogę dla mocarstwowej pozycji również i Polski. Młodzi adepci tego obozu uczyli się wielbić w Hitlerze i Mussolinim, a nawet w małych pachołkach Berlinternu, typu Codreanu czy Franco, bojowników nowej, „narodowej“ Europy. Aż oto teraz przyszedł — przełom. Nie ten, wymarzony, berlinternowski „przełom narodowy“. Przełom zupełnie inny. Rzeczywistość stała się jasna: Berlintern okazał się narzędziem anty-polskiego, niemieckiego imperializmu.

Jest taka stara piosenka: „Dziś on jest tu, a ona tam, a w środku me złamane serce“. Wydaje się nam, że odzwierciadla ona wcale dokładnie pozycje wielu naszych „narodowców“. Totalizm tu, a Polska tam, a w środku złamane „narodowe“ serce. Złamane serca radzą sobie, jak mogą.

Faszyzm rodzi Hachów. „Goniec Warszawski“ np. zaczyna od zagranicy. Drukuje artykuł Tadeusza Kiełpińskiego, (który osobiście, zaznaczmy to lojalnie, nigdy nie ulegał sugestii Berlinternu), wyjaśniający rzeczywiste przyczyny kapitulacji czeskiej. Okazuje się, że nie „żydo-masoństwo“ Benesza, a właśnie nacjonalizm czeski, te wszystkie totalistyczne grupki i grupy, z którymi tak chętnie bratali się nasi „narodowcy“ wszelkich typów, otworzyły czołgom niemieckim drogę na Hradczyn. P. Hacha to nie demoliberał, nie żydo-mason, nie socjal-komunista, to najautentyczniejszy nacjonalistyczny „narodowiec“, typu gen. Franco, czy innego Szalassyego.

P. Kiełpiński pisze dosłownie: „Szef czeskosłowackiego państwa był zasugestionowany potęgą Niemiec. Był niezwykle podatnym materiałem dla propagandy niemieckiej, tym bardziej, jeśli się weźmie pod uwagę, że jego domowe otoczenie pozostawało pod wpływem haseł nazistowskich i faszystowskich... Społeczeństwo czeskie zostało wystawione na działalność nie liczącej się z niczym propagandy niemieckiej, która przenikała wszędzie, gloryfikując politykę osi i ideologię nazistowską. W taki sposób germanizowano naród od wewnątrz, zabijając w nim siłę i zdolność oporu. Pod płaszczykiem popularnych haseł totalnych, krył się sztylet, którym zadano w starannie wybranej chwili decydujący cios... Załamanie społeczeństwa przygotowała propoganda nazistowska, której wysługiwali się, wszystko jedno interesownie czy bezinteresownie, nawet wybitni publicyści czescy“.

„Goniec“, miejmy nadzieję, będzie się strzegł na przyszłość ułatwiania ekspansji niemieckiej drogą propagandy totalizmu czy filototalizmu w Polsce. Żałuje on może, dzisiaj swych niebacznych zapałów dla generała Franco, wasala osi i sojusznika Berlina. Przecież wojska gen. Franco, skoncentrowane nad granicą francuską, stanowią jeden z czynników tej zmienionej sytuacji politycznej, która dodała Rzeszy otuchy dla zgłoszenia jej wiadomych żądań. Dzisiaj „Goniec“ już chyba rozumie, kto wtedy reprezentował rzeczywiste interesy Państwa Polskiego, „narodowi“ entuzjaści generała

Franco, czy demokratyczni, mówiąc żargonem Berlinternu „fołksfrontowi" sympatycy Republiki.

Ale mniejsza o przeszłość. Dziś „Goniec" zdaje się, rozumie już niebezpieczeństwa nazistowskiej propagandy. By jej się mógł strzec lepiej, przyda mu się zestawienie dokonane przez inne nie mniej od „Gońca" reakcyjne i faszystofilskie pismo.

Na co liczy Berlin w Polsce? Tygodnik „Zaczyn" organ, związany z najbardziej monopartyjnymi ośrodkami sanacyjnymi, w obliczu niebezpieczeństwa niemieckiego w obszernym artykule wstępnym podejmuje próbę zestawienia „elementów, na które penetracja niemiecka liczyć może". Dodaje on przy tym zupełnie słusznie, że zestawienie to jest „zarazem rejestrem wielu nonsensów naszego życia politycznego, wykazaniem, jak wiele z tych uświęconych nonsensów jest robotą pour le Roi de Prusse". Zdaniem „Zaczynu" Niemcy liczą na:

1) Złudzenie, że krystalizujące się w Polsce dążenia w kierunku ustroju autorytatywnego są pokrewne ideom totalnym, a jako takie przygotowują grunt do rozbudzenia sympatii dla III Rzeszy i respektu dla potęgi państwa, będącego wzorem systemu totalnego;

2) rachuby na epigonów dawnych kół ugodowo-aktywistycznych;

3) przekonanie o rosnącym wpływie politycznym właścicieli latyfundiów, z presumpcją, że włączenie Polski do gospodarstwa niemieckiego nie byłoby dla nich niekorzystne;

4) możność rozbrojenia przeciw-niemieckich nastrojów mieszczaństwa polskiego przez ekscytowanie go kwestią żydowską, która miała by przesłonić wszystko inne;

5) groźba wojny domowej i obawa przed Sowietami, rosnąca w miarę przewidywanego rozwoju polskich ruchów totalistycznych.

Jak na organ, który zaraz w następnym artykule cytuje obszernie i z uznaniem wywody p. płk. Wendy, jest to wcale dużo. Są tu, oczywiście, i niejasności. Bo cóż znaczy, rozróżnienie ustroju autorytatywnego od idei totalnych? O ile nam wiadomo, ustroje totalne uważają się właśnie za ustroje autorytatywne. Takich zastrzeżeń znalazłoby się więcej. Ale, stwierdźmy w każdym razie, że „Zaczyn" kopnął, i to dotkliwie kopnął, w cztery bolesne miejsca naszych totalistów: w ich sympatie ideologiczne dla mocarstw osi, w antysemityzm, w straszak bolszewicki i w rolę, odgrywaną w ruchach faszystowskich i totalnych przez „koła ugodowo-aktywistyczne", które dla ratowania swego stanu posiadania gotowe są sprzedać niepodległość kraju.

Niestety, same słowa, choćby najbardziej słuszne, nie wystarczą. Chcielibyśmy, nim uwierzymy w nawrócenie „Zaczynu", widzieć parę konkretnych czynów zbliżonych doń i popularyzowanych przezeń osobistości. P. pułk. Wenda np. mógłby ruszyć z miejsca sprawę ordynacji wyborczej. Byłby to cenny przyczynek do uniemożliwienia, a conajmniej utrudnienia na przyszłość roboty tym czynnikom, na które liczy Berlin. Narazie... w różnych miastach prowincjonalnych listy Ozonu podpisywane są przez „Rodziny Policyjne", Urzędy Pocztowe, nawet przez L.O.P.P. Tę L.O.P.P., na którą właśnie teraz wszyscy składamy — i składać będziemy — ofiary. — Warto czytać, doprawdy.

Niepoprawni. Ale są i tacy, którzy nawet terminologii zmienić nie chcą, którzy dalej uparcie trwają przy całej, bez reszty, dotychczasowej swej polityce.

Bo czymże wytłumaczyć, że znajduje się w Polsce organ, który w numerze z 30 kwietnia (dzień po mowie piątkowej) poświęca całą niemal stronę zgubnym wpływom Tuwima na poezję polską i na duszę młodzieży polskiej, a drugą już pełną stronę poświęca kamienicznikom żydowskim w Warszawie (oczywiście z troskliwym pominięciem „aryjskich" kamieniczników, nieboraczków)? I to właśnie organ, który cały numer hołdowniczy poświęcił agentowi niemieckiemu Codreanu, organ, który zachwycał się najemnikami berlińskimi z czeskiej Vlajki, czy też Durczańskim i jemu podobnymi jurgieltnikami Berlina w Słowacji. Organ, który radował się każdym postępem sojusznika Berlina, Mussoliniego, i berlińskiego pachołka Franco, organ, którego korespondent fraternizował z bojówkami Henleina. Innymi słowy, „Prosto z mostu".

Pan Stanisław Piasecki nie jest zresztą jedyny. Dość spojrzeć na szpalty różnych „Małych Dzienników", różnych „A.B.C." czy innych „Narodów w Walce", by przekonać się, że spora część naszej reakcji dotąd trwa na „osiowych" pozycjach. Przenika ta osiowa propaganda do „Radia Polskiego". Oto, osiemnastego b. m., na jedenaście dni przed mową Hitlera, w chwili, gdy cała prasa włoska już atakowała jawnie Polskę, p. L. Rościszewski, przemawiając przez radio, głosił, że „Morze Śródziemne stanowi niemal w całości wewnętrzne morze włoskie". Przenika ta sama propaganda do czołowych organów reżymu. Oto p. Ipohorski-Lenkiewicz, ten z „Gazety Polskiej", ten sam, który odmówił prawa do patriotyzmu milionom chłopów polskich, zjednoczonych w Stronnictwie Ludowym, w wydawanym przez siebie pisemku „Czerwona Róża", radzi Francuzom odstąpić Włochom Tunis, zachęcając ich prawdopodobnie w ten sposób do solidaryzowania się z Rzecząpospolitą w sprawie Gdańska...

Doprawdy, słusznie pisze o tej kategorii ludzi „Dziennik Bydgoski", najbardziej prawicowy z organów Stronnictwa Pracy:

> „Są w Polsce ludzie, których tak zw. nowoczesny nacjonalizm urzekł. Nigdy nie wierzyliśmy, że ludzie mają dar uroku, niestety, przekonać się musimy, że urok istnieje i istnieją urzeczeni. Także w Polsce jest spora liczba urzeczonych. Znajdujemy ich przeważnie w redakcjach pism nacjonalistycznych. Są to ludzie, którzy nie wierzą w zdobycze polskiej nauki, którzy nie znają polskich dziejów ojczystych, którzy nie znają polskiej historii kultury, którzy nie rozumieją sensu dziejów narodowych swego ojczystego kraju, nie znają polskiej myśli politycznej i polskiego prawa politycznego.
>
> Rzeczy polskich nie czytają. Co jest włoskie, co niemieckie, to tych panów oślepia. Wolą czytać dzieła obcej nauki i mądrości niż dzieła swoich rodzimych uczonych".

A co wychodzi z takiego „urzeczenia", o tym powiedział nam już, przy sposobności Czechosłowacji p. Kiełpiński. Doprawdy, czas by już skończyć z tą hodowlą Hachów.

Antypaństwowa Orzeszkowa

Przyznajemy, że czytając „Kurier Poranny", z dnia 1 maja br., odetchnęliśmy z ulgą. Zdawało się nam przez chwilę, że to stare dobre czasy „paktu o nieagresję", czy, jak to twierdziła współpracowniczka tegoż „Kuriera Porannego", p. Maria Jehanne Wielopolska „sojuszu" z Trzecią Rzeszą, że p. Lipski jest nadal persona gratissima p. von Ribbentropa, a kanclerz Hitler nadal ulubieńcem całej naszej wojującej i napastującej reakcji. Bo oto jakiś pan A. Wilk „rozprawia się" tam z „cyniczną robotą" Bundu, żydowskiej partii socjalistycznej, obejmującej poważną część żydowskich mas ludowych.

Chodzi o to, że będąca pod wpływami Bundu organizacja świeckiego szkolnictwa żydowskiego, t.zw. C. I. S. Z. O., urządza wystawę prac szkolnych uczniów, utrzymywanych przez nią szkół. P. Wilk dopatrzył się w tej wystawie niebywałego skandalu, szczególnie krzyczącego o pomstę do nieba „w r. 1939, w okresie rozpisania pożyczki obronnej, w okresie dla państwa szczególnie doniosłym". Daje tak delikatnie, jak przystało na organ p. Hrabyka, do zrozumienia, że należałoby właściwie nie dopuścić do tej wystawy, zakazać ją przez policję. Cóż straszliwego zobaczył na tej wystawie p. Wilk?

Jedna sala poświęcona jest stosunkowi wielkich pisarzy polskich do Żydów. „Na czele Marszałek Piłsudski, a później cała sala krzyczy nazwiskami, Żeromskiego, Wyspiańskiego, Mickiewicza, Żuławskiego, Przybyszewskiego, Norwida, Słowackiego, Orzeszkowej. Specjalną ścianę zajmuje Kościuszko. Całą dużą salę Orzeszkowa".

Cóż w tym złego? P. Wilk się gniewa, że Orzeszkowa była zwolenniczką równouprawnienia Żydów. P. Wilk się gniewa, że wszyscy ci polscy poeci i myśliciele nie byli zwolennikami „Mein Kampf". Trudno, wolno mu się gniewać. Ale czy doprawdy ktokolwiek w Polsce może sądzić, że dzieciom żydowskim należy jako prawdziwych przedstawicieli narodu polskiego przedstawiać nie Żeromskiego, Mickiewicza, Kościuszkę, a właśnie p. Hrabyka, ks. Trzeciaka czy innego... gościa erfurckich kongresów? Nam się wydaje, że nauczyciele C. I. S. Z. O., ucząc dzieci żydowskie, zrozumienia tych wielkich postaci kultury polskiej, przyczyniają się właśnie do rozwijania w nich polskiego patriotyzmu, przywiązania do Rzeczypospolitej.

Inny zarzut: oto obraz, rysowany przez dziecko, pokazuje, jak „Polskę wyciętą z tektury podtrzymuje dwóch spracowanych i obdartych ludzi, trzymających się za ręce — robotnik żydowski i robotnik polski". Cóż w tym złego? Robotnicze dzieci żydowskie uczy się, że powinny one wraz z robotnikiem polskim bronić Polski. Podług p. Wilka to poprostu żydokomuna.

Jeszcze jeden zarzut: Oto dzieci pokazują dwa typy bibliotek: bibliotekę starego pokolenia, pełną hebrajskich ksiąg talmudu, i drugą bibliotekę nowego, młodego pokolenia żydowskiego, z Żeromskim, Czuchnowski i innymi. Uważamy tę drugą bibliotekę stanowczo za postęp. A czego chciałby p. Wilk? Żeby dzieci czytały bluźnierczy „Tragizm Dziejów Polski" p. Giertycha, czy może protokóły Mędrców Sjonu? Doprawdy, za duże wymagania.

Cała rzecz byłaby śmieszna, gdyby nie miała i poważnej strony: oto w chwili obecnej, „w r. 1939, w okresie rozpisania pożyczki obronnej, w okresie dla państwa szczególnie doniosłym", w chwili gdy burza ciągnie właśnie od granicy zachodniej, właśnie stamtąd, skąd płynęło natchnienie dla wszystkich ideowych przyjaciół p. Wilka, pan ten podejmuje pod wręcz śmiesznymi zarzutami próbę ponowienia propagandy, mającej na celu odepchnięcie od frontu obrony Polski trzech milionów obywateli, podejmuje atak na stronnictwo, które niesie w ciemne zacofane żydowskie masy ludowe naukę o tym, że wraz z ludem polskim powinny one stanąć zbrojnie w obronie Rzeczypospolitej.

Komu to potrzebne? Polsce na pewno nie.

Maleńka nieścisłość

Proklamując 28 kwietnia swoje „sugestie" pod adresem Polski raczył Adolf Hitler nazwać Pomorze obszarem **eksterytorialnym.** „Proponowana" Polsce niemiecka autostrada i kolej żelazna przez t. zw. korytarz miałaby — jak nas kanclerz zapewnił — posiadać **ten sam** charakter eksterytorialny, jaki posiada korytarz.

W sformułowaniu tym widzimy pewną nieścisłość — czy tylko terminologiczną, to pozostawmy narazie na uboczu. Cóż bowiem znaczy eksterytorialność w pojęciu i praktyce prawa międzynarodowego? Jest to mniejszy lub większy, na ogół jednak minimalny, teren znajdujący się w granicach pewnego państwa ale wyłączony z pod jego suwerenności. Eksterytorialna jest np. siedziba przedstawicielstwa zagranicznego jednego państwa w stolicy drugiego. Niewątpliwie teren ambasady niemieckiej w Warszawie i polskiej w Berlinie — to obiekty eksterytorialne. Eksterytorialną jest ostatecznie koncesja międzynarodowa w Szanghaju — niezależnie od tego, że ani narodowi chińskiemu ani demokratom innych krajów stan taki wcale się nie podoba. Ale już o Gibraltarze, małym przylądku na półwyspie pirenejskim, nikt nie powie, że jest eksterytorialny. Gibraltar należy po prostu do Anglii — leży w jej państwowych granicach.

Tym bardziej nikt nie nazwie np. Prus Wschodnich, Westfalii czy Brandenburgii obszarami eksterytorialnymi. Są to po prostu prowincje **niepodległego** państwa niemieckiego — podobnie jak województwo kieleckie, warszawskie czy pomorskie, to zwyczajne części **niepodległego** państwa polskiego, nie przedstawiające dla teorii prawa międzynarodowego najmniejszych osobliwości, jakkolwiek mogą budzić żywe zainteresowanie geologa czy badacza folkloru.

Kanclerz Hitler tym razem pomylił się...

Odwet pokoleń

Leonid Grossman:—Śmierć poety—Przekład **Władysława Broniewskiego.** Wydawnictwo „Europa", Warszawa 1939.

Jednym ze świadków historycznej zbrodni dokonanej 27 stycznia 1837 r. nad Czarną Rzeczką, był attaché przy poselstwie francuskim w Rosji — d'Archiac.

Z ręki cudzoziemca „przybłędy" jak nazwano d'Anthésa padł wtedy Puszkin. „Zapiski d'Archiaca" nakreślone z głęboką wnikliwością i analizą zdarzeń historycznych przez Leonida Grossmana rzucają zdaje się dotąd najbardziej właściwe światło na smutny epilog rosyjskiego poety.

Autor nie stwarza jakiegoś mdłego melodramatu osnutego na erotycznym podłożu. Opierając się natomiast na pamiętnikach, aktach, listach oraz wiadomościach z gazet rozwija sprawę pojedynku i śmierci poety w szerokiej skali europejskiej. Odtwarza ją na tle rozgrywki politycznej i społecznej jaką była walka legitymistów i reakcji.

Hardy duch ważący się myśleć inaczej niż Mikołaj i sfora jego zauszników, zwracający swój talent przeciwko ich chylącej się ku upadkowi władzy — Puszkin był niebezpiecznym „podżegaczem".

Jad jego satyry godził w oczach świata w ich właściwe oblicze. Jego donośne i piękne słowo entuzjazmowało szerokie rzesze społeczeństwa. One to, piętnowane przez „stojących u tronu" jako motłoch, którym wprawdzie pogardzali, ale jednocześnie go się bali, widzą w nim wrogą i niespożytą siłę. Dlatego należało zgładzić twórcę, niebezpiecznego dla absolutyzmu.

Czego np. mógł się Puszkin spodziewać od cara, który ongi nakreślił na raporcie takie zalecenie: „Chwała Bogu kary śmierci u nas nie było i nie ja ją wprowadzę. Winnych przepędzić przez 1000 ludzi dwanaście razy".

Znaczyło to otrzymać 12.000 razy pałką po plecach, co równało się karze śmierci. Obłuda uwidoczniała się również w postępowaniu wobec poety. Wygodniej było użyć tajemnie tak bezmyślnego narzędzia jak d'Anthes, rzucić go poprostu na pastwę ogólnej nienawiści niż wywołać przez jawny wyrok antyrządową manifestację.

Lepiej walczyć jadem anonimów i intryg. Najlepszą rękojmią powodzenia w tym kierunku był charakter samego poety. Popędliwy, zapalny, zazdrosny Puszkin, był dzieckiem epoki romantycznej. „Mógł, jak pisał sam o sobie, żyć „en bourgeois" ale umrzeć będę musiał inaczej".

Mania pojedynkowania przeszła od kół wojskowych do kół literackich, z porewolucyjnej Francji przywędrowała do Rosji.

Fałszywe poczucie honoru, honoru ponad wszystko — było cechą dominującą epoki. „Przy całym swym geniuszu i wysokiej sztuce twórczej, Puszkin nie posiadał dostatecznej swobody wewnętrznej i szerokości poglądów". Był on, jak to trafnie określił Lermontow — „niewolnikiem honoru". Ale był także niewolnikiem policyjnych rządów, dławiących swobodę myślenia i swobodę osobistą, rządów, które przykuły poetę na całe życie do Rosji, zabraniając mu wyjazdu za granicę. Kto wie jak w innych warunkach ukształtowałby się charakter, światopogląd i jakie wyżyny osiągnąłby geniusz poety.

Czy uświadamiał sobie Puszkin wartość swego istnienia, wielkość swej dziejowej roli? Prawdopodobnie tak... Bo cóż innego oznaczać mają słowa zachwytu dla wezwania Saint-Simona, wezwania, które jak mawiał często, ukazało cel jego życiu: **„Odważcie się być nauczycielami ludzkości"...**

A jednak uległ przesądowi, nie oparł się jego krępującom więzom. Nie miał tej siły jak Pasteur, który gardząc opinią, odprawił precz w parę dziesiątków lat później sekundantów swego przeciwnika, cenił bowiem swój obowiązek wobec ludzkości ponad wszystko.

Opinie współczesnych o pojedynku Puszkina były różne. Tak zwane „wyższe sfery" nie żałowały go ale, jak to przytacza Grossman, potępiały poetę i drwiły z niego dość jawnie. Stwierdza to również Lermontow w swym „zeznaniu". Autor wiersza „Na śmierć poety" miał odwagę potępić „stojących u tronu", co też przypłacił wygnaniem. Ale i on nie chciał czy nie ośmielił się potępić cara.

Z prostotą i zwięzłością oddaje Grossman obraz samego Puszkina, ową wielkość i małość ścierające się w płomiennej i wrażliwej duszy poety.

Nieznany poeta — dziecię wyobraźni, umierający w pięknych strofach poematu „Eugeniusz Onegin" i ten sam obraz w rzeczywistości to śmierć samego twórcy. Wyobraźnia i rzeczywistość splecione w całość nierozerwalną...

„Śmierć poety" jest głosem pokoleń, które wzięły odwet, jest ponownym oskarżeniem tych, o których już Lermontow powiedział przed wiekiem, że „nie zmyją nigdy swą czarną krwią, krwi poety".

Przekład Broniewskiego wyborny.

Korekta wadliwa.

NATALIA WIŚNIEWSKA



Z spuścizny Wacława Nałkowskiego

Krytyka „Legendy Młodej Polski"

Fragmenty

Rozpoczynamy druk fragmentów pozostałej po Wacławie Nałkowskim krytyki poglądów Stanisława Brzozowskiego, które wciąż jeszcze są przedmiotem sporów, rozważań i jakże często... nieporozumień. O zasadniczym stanowisku Wacława Nałkowskiega wobec autora „Idei" pisaliśmy w „Epoce" w numerach 34, 35, 36 z roku ubiegłego.

Człowieka uległego reakcji możnaby porównać do gór spłókanych, zniwelowanych, do tak zwanego peneplenu: wśród tych zniwelowanych form sterczą jeszcze tu i owdzie formy dawne, szczątkowe przeżytki: tak u Brzozowskiego sterczy Świętochowski jako szczątek postępu, ba! sterczy nawet w cudowny sposób ocalony Ulanowski wskutek jakichś warunków lokalnych, Przybyszewski. U nas w geografii takie spłókanie odbywa się odpowiednio do pewnego poziomu: denudacja częściowa...

***

Stanowisko ludowe i katolickie Brzozowskiego prowadzi do reakcyjnej demokracji i też występuje on silniej przeciwko postępowi niż przeciw narodowej demokracji. Jeszcze są u niego w tym początkowym stadium liczne sprzeczności: jest przeciwnikiem postępowości, ale jeszcze uznaje Świętochowskiego, a zapewne nie uznaje Dmowskiego, ale z czasem przyjdzie i ta konsekwencja...

***

Pragmatyzm to filozofia ginącego ustroju burżuazyjnego, dla jego podtrzymania. Jest to eklektyzm najgorszego rodzaju, usiłujący pogodzić naukę z religią przez zdeprecjonowanie nauki, a nawet religii: skoro bowiem „prawda" religijna, np. o nieśmiertelności jest tylko prawdą o tyle , o ile służy dla podtrzymania życia, skoro jutro przy zmiennych warunkach ona może stać się nieprawdziwą, to wynika stąd. że w gruncie rzeczy religia ma wartość tylko dla tych, co nie widzą za koniec nosa. Książka Brzozowskiego jest formalnie analogiczna do takich humbugowych wydawnictw amerykańskich, jak „Zbudź się i walcz", „Przeciw śmierci" itd.

Postawienie pracy na piedestale jest słuszne i doniosłe w skutkach, ale trzeba naprzód zbudować ten piedestał (ustrój socjalistyczny), a jego jeszcze nie ma. Bez tego piedestału posąg pracy ugrzęźnie w bagnie burżuazyjnej reakcji! Zalecać i sławić pracę „bez zastrzeżeń" (praca bez zastrzeżeń to dziś to samo, co neosłowianizm bez zastrzeżeń) można będzie wtedy dopiero, gdy ona będzie dumną władczynią, a nie pokorną sługą kapitału. Dziś sławić pracę jest to sławić służalczość, zalecać te cnoty, które są psa zasługą, a hańbą człowieka.

Brzozowski wyrzuca różnym ludziom, że się wyrzekają życia, nie umieją nad nim zapanować („Kultura i Życie"). A jakże Brzozowski zapanował? Czyż potrafił on uniezależnić się od ludzi, czy nie dał wysadzić się on z siodła? I to poważnie przez własną lekkomyślność, przez brak „męskiego stosunku do życia". Dlaczego dozwolił on ludziom ośmielić się do posądzeń względem niego?

***

Brzozowski nie dowodzi, nie krytykuje, on tylko rozdaje rangi: ten jest „mistrzem", „wielkością". „znakomitością" — ów „idiotą", „kretynem" itd. Ma on nieraz szczęśliwe wyrażenia, np. że „trzeba mieć odwagę nietaktowności".

Nie uznaje dowodzeń: „niebezpieczny symptomat, gdy ktoś usiłuje wszystko udowodnić, mieć słuszność" (str. 356), „żyć duchowo to znaczy iść po linii największego oporu" (choć to nie nowe: życie to walka). Szkoda tylko, że książka Brzozowskiego nie poszła po linii największego oporu, lecz po wypadkowej i to najbliżej narodowej demokracji.

A propos, Kasprowicz, który się zmienił z czciciela tłumu — powiada, że nie należy oceniać według partii, ale tą drogą właśnie odbywa się wpływ na życie. A mówi, że nie ma przedziału między tym, co przeżywamy prywatnie, a tym, co przeżywamy dla całej ludzkości.

***

Że życie jest czynnikiem więcej niż procesem logicznym, jak mówi Brzozowski, to wiadomo, że zawiera w sobie pierwiastek irracjonalny, — także.

Ale wiadomo, że proces dziejowy polega na racjonalizacji czynów, na opanowywaniu ślepych sił przez rozum (co chyba i Brzozowski przyzna) i że siły te nie ujęte w karby rozumu prowadzą do zguby. My dotkliwie właśnie z tego powodu cierpimy i Brzozowski nawet na innych stronnicach za to nam wymyśla. Więc gdy Brzozowski stawia na pierwszym miejscu irracjonalne, gdy drwi z „postępowców", że polemizują z wszechpolakami przy pomocy logiki, to niech sobie gada ile chce, że ja jestem „postępowo szczebiocący"; ale to jest zwrot, rzeczywiście reakcja na stanowisko Narodowej Demokracji.

Inaczej ja mógłbym powiedzieć o „szczebiotaniu" Brzozowskiego, który raz walczy jak lew z Narod. Demokr., to znów odwraca front, staje na koturny i wali postępowców. Doprawdy postępowcy mogli by się czuć zmiażdżeni erudycją Brzozowskiego, gdyby ona nie była dla niego zupełnie bezużyteczna a nawet szkodliwa, gdyż naraża go na prawdziwą kołowaciznę — kierunek jego zawsze zależy od jego każdorazowej lektury.

Brzozowski swych poglądów nie dowodzi, powołuje się na całe biblioteki powag, zresztą drwi z dowo-

dów intelektualistów, bo dla niego wszystko jest irracjonalne. Ale, aby ludzi przekonać do swego irracjonalizmu, trzeba ich wziąć za łeb, a na to trzeba stosów, bagnetów it.p. My jednak tego nie posiadamy, więc musimy się posługiwać rozumem, wyrażanym słowami, którymi Brzozowski tak niesłusznie pogardza, bo przecież sam się nimi posługuje, a ponieważ nie mają za sobą ani irracjonalnej siły bagnetów ani też racjonalnej siły dowodów, więc są jeszcze bardziej puste, niż „intelektualistyczne szczebiotanie“ postępowców przeciw narodowej demokracji.

***

Brzozowski przypomina nieraz ów że tak powiem „ponadpartyjny“ galimatias genialnego Carlyle‘a: cześć dla pracy i monarchizmu, współczucie dla sankiulotów i walk przeciw oswobodzeniu Murzynów; duma człowieka pracy i order od cesarza niemieckiego, religijność i walka przeciw złagodzeniu życia więziennego. Cześć dla Rewolucji Francuskiej i dla prusactwa.

Gdy syn purytańskich analfabetów zostanie odrazu filozofem, mogą mu się potworzyć w mózgu tego rodzaju uskoki — to nic dziwnego, ale dla normalnego człowieka stawić taki bigos hultajski to pewne spuchnięcie wątroby. Niech to strawi, kto może.

***

Idealistyczne poglądy społeczne Carlyle‘a, podobne do socjalizmu chrześcijańskiego, budzą we mnie podejrzenie, jak wszystkie poglądy idealistyczne zarówno wśród twórców, jak i ludzi przeciętnych: doświadczenie nauczyło mnie, że zawsze prawie egoiści, materialiści życiowi głoszą poglądy idealistyczne i odwrotnie... Idealizm wydaje mi się zawsze podejrzany po za nieświadomym, zawierającym coś z lisa, bądź coś z wilka, który utracił zęby, a choćby coś z prostytutki, nucącej kołysankę. Dlatego wolę brutalizm Nietzschego niż idealizm Tołstoja. Dlatego idealistyczny zwrot w stanowisku Brzozowskiego czyni na mnie niemiłe wrażenie.

Idealiści lubią powoływać się na ślepe siły, ciemne, podświadome siły, intuicję, tajemniczość, a nie na naukę — bo tymi podstawami nie łatwo żonglować... Idealistą był Torquemada, idealistą — Pobiedonoscew. Timeo Danaos...

Freudyzm jako światopogląd

(Dokończenie)

Człowiek pierwotny upodobał sobie pracę, uważając ją za ekwiwalent czynności płciowych.

Zygmunt Freud.

Ograniczony zakres uwag niniejszych nie pozwala na, pobieżną chociażby, charakterystykę freudowskiej psychologii nieświadomego. Zresztą ta część nauki wiedeńskiego profesora jest bodajże najbardziej u nas spopularyzowana i... zwulgaryzowana. Zarówno wrogowie Freuda z obozu obskuranckiego, przedstawiciele tradycyjnej obłudy obyczajowej i zakłamanej pruderii, jak entuzjastyczni wielbiciele freudyzmu z środowiska pseudo-postępowego mieszczaństwa, pionierzy nie mniej zakłamanej „rewolucji obyczajowej“ — jedni i drudzy położyli na tym polu niespożyte zasługi. Poprzez „nowo-realistyczną“ literaturę powieściową i wtórującą jej publicystykę freudowskie odkrycia seksualizmu infantylnego, sublimacji popędów, jego teoria snów i inne koncepcje tej seksualistycznej psychologii przeniknęły w łatwo strawnej formie do publiczności, stały się w wielu wypadkach lwią częścią skromniutkiego bagażu teoretycznego niektórych środowisk inteligenckich. Oczywiście nie za wszystko należy winić samego Freuda. A już w żadnym wypadku nie może się na jego naukę powoływać literatura pornograficzna czy żerująca na erotyce — pod pozorem walki z przesądami. Ideowa i społeczna szkodliwość freudyzmu tkwi znacznie głębiej i tylko niesumienna, świadoma czy nieświadoma wulgaryzacja i często falsyfikacja jego nauki przez wsteczników może identyfikować freudyzm z pornografią. Niebezpieczeństwo jest o wiele poważniejsze.

Mianowicie seksualistyczna psychologia Freuda jest podstawą jego doktryny społeczno-kulturalnej, jego poglądu na historyczny rozwój ludzkości. Pamiętajmy, że psychologia ta jest uogólnieniem doświadczeń jego praktyki lekarskiej, psychiatrycznej. To znaczy: punktem wyjścia, materiałem doświadczalnym są tu zjawiska **patologiczne** i z nich Freud wysnuwa ogólne zasady psychologii. A skoro choroby psychiczne — zdaniem Freuda — rodzą się głównie na podłożu seksualnym, to i psychologia człowieka w ogóle ma to samo tło. Z przyczyn, nad którymi z braku miejsca nie możemy się tu rozwodzić, seksualizm ten pozostaje nieuświadomiony. A że jest on najrealniejszą rzeczywistością psychiczną — stąd nieświadomość jest istotną, choć głęboko ukrytą treścią i sprężyną naszego postępowania. Twierdzenie takie pomija oczywiście historycznie zmienny i społecznie uwarunkowany charakter psychiki ludzkiej, w której, w procesie rozwoju dziejowego, pierwiastki nieświadomości wypierane zostają coraz bardziej przez świadomość. Wstępowaniu człowieka na coraz wyższy poziom kultury, coraz doskonalszemu poznawaniu i opanowywaniu przez nas rzeczywistości towarzyszy rozrost świadomości społecznej i indywidualnej kosztem nieświadomości. Odbywa się w ten sposób nieprzerwany przewrót w psychice ludzkiej.

I nawet to, co w psychologii Freuda uznać wypada za słuszne i eksperymentalnie uzasadnione, ma walor ograniczony tylko do pewnego, historycznie wytworzonego środowiska społeczno-kulturalnego, o pewnej psychice i obyczajowości, o pewnej sferze zainteresowań, dążeń i poglądów. Z tego właśnie środowiska rekrutuje się przeważająca część pacjentów wiedeńskiego profesora i sławnych lekarzy-freudystów. Trudno wszak zaprzeczyć, że wszelkiego rodzaju niewyżyte „kompleksy“ seksualne, urazy, nieuświadomione lub gwałtem nie dopuszczane do świadomości „tęsknoty“ odgrywają dominującą rolę w życiu duchowym pań i panien, których mężowie i ojcowie leczą w Karlsbadzie swe schorzałe

żołądki lub w Marienbadzie zwalczają fatalną otyłość. Środowisko to, którego umysłowość wywarła niewątpliwie znaczny wpływ na całą ulegającą mu kulturalnie i obyczajowo warstwę ludzi, środowisko, którego przedstawiciele są bohaterami ogromnej literatury, tworzonej nieraz przez najznakomitszych pisarzy, środowisko, które kładło swe piętno na życiu umysłowym pewnych kręgów inteligencji w Austrii przeddollfussowskiej i w weimarskich Niemczech — formowało, a w wielu krajach jeszcze teraz formuje, zarówno psychologię jak typ intelektualny inteligenta, jego credo artystyczne i filozoficzne, jego poglądy etyczne. Sądzimy, że tu właśnie leży obiektywna, historycznie, społecznie i psychologicznie zdeterminowana baza freudyzmu. I w tym sensie freudyzm posiada niewątpliwie swój walor obiektywny.

Sądzimy, że Freud (napewno... nieświadomie) przekłada filozofię życiową tego środowiska na język naukowy psychologii, gdy stwierdza we „Wstępie do psychoanalizy":

„Wydaje się, że cała nasza działalność duchowa nastawiona jest na zdobywanie zadowolenia i unikanie przykrości, że jest ona automatycznie regulowana przez **zasadę rozkoszy**" (Str. 444 polskiego wydania).

I gdy tamże (str. 468) taki wypowiada pogląd na istotę twórczości artystycznej:

„Artysta jest w założeniu także człowiekiem podlegającym introwersji, któremu już nie daleko do nerwicy. Jest popychany przez silne pragnienia, chciałby zdobyć zaszczyty, władzę, bogactwa, sławę i miłość, ale brak mu środków, by osiągnąć te zaspokojenia. Dlatego odwraca się, podobnie jak inny człowiek niezaspokojony, od rzeczywistości i przenosi całe swoje zainteresowanie, także całą libido, na twory życzeniowe swojej fantazji, od których mogłaby prowadzić droga do nerwicy".

Czy nie ma artystów, dla których pobudki takie są najpotężniejszym motorem ich twórczości? Niewątpliwie, istnieją tacy. Czy wszyscy? Czy może portret artysty, odmalowany tu przez Freuda, to tylko zbyt pochopnie i całkiem bezpodstawnie uogólniony typ artysty — wyraziciela pewnej warstwy, pewnej psychologii, pewnego stylu umysłowego i obyczajowego, pewnej etyki? Sądzimy, że **takie** pobudki twórczości artystycznej, uświadomione czy nieświadome, istotnie będą cechowały artystę, wyrażającego skłonności estetyczne środowiska, które wyżej scharakteryzowaliśmy jako społeczno-kulturalną bazę freudyzmu. Podkreślmy również, tak nawiasowo, że istotę tworzenia artystycznego widzi Freud właśnie w odwracaniu się od rzeczywistości. To posiada swoją wymowę.

W najbliższych numerach ukażą się prace: Dra G. BYCHOWSKIEGO „O zatruciu nienawiścią" (Céline), STEFANII SEMPOŁOWSKIEJ „Z moich wspomnień", Z. Wł. SZCZYGIELSKIEGO „Nowy realizm czy fikcja?", JERZEGO BOREISZY „O prawo do krytyki", Dra M. P. „O książce Fr. Foerstera". STAN. CZOSNOWSKIEGO „Start nowoczesnego parlamentaryzmu", IG. WOLSKIEGO „Edw. Daladier", Recenzje N. WIŚNIEWSKIEJ, J. CZERMINSKIEGO, Wł. K. BIEŃKOWSKIEGO.

Jak powiedziano, na seksualistycznej psychologii opiera się freudowska teoria „seksualizmu dziejowego" — jeżeli wolno się tak wyrazić. Ta osobliwa koncepcja rozwoju społeczno-kulturalnego i etycznego ludzkości zawarta jest głównie w pracach: **„Totem und Tabu"** (t. X), **„Massenpsychologie und Ich-Analise"** (t. VI) i w essay'u **„Das Unbehagen in der Kultur"** (t. XII). Pierwsza z tych prac przedstawia „grzech pierworodny" w seksualistycznym ujęciu. W pierwotnej hordzie ludzkiej synowie w przystępie erotycznej zazdrości o matkę (kompleks Edypa) zamordowali ojca-tyrana. Ale erotyczne pobudki tego mordu nie mogły przecież ulec teraz zaspokojeniu, bo znowu na placu pozostał nie jeden lecz kilku czy kilkunastu pretendentów do miłości matki. W dodatku — obok nienawiści synowie kochali przecież ojca i teraz stało im się bardzo nieswojo. W duszy ich po raz pierwszy powstał żal, **skrucha,** nad ich jaźnią (Ich) wytworzyła się nad-jaźń (Über-Ich), która zdobywa przemożną władzę nad skruszoną osobowością każdego z tych dzikusów. Postanawiają nigdy więcej nie podnieść już ręki na ojca i nie pożądać matki. Kompleks Edypa zostaje zakazany, choć pozostaje w głębi psychiki, stłumiony wprawdzie i steroryzowany, tym nie mniej jednak domagający się zaspokojenia. Bracia tworzą pierwszy związek społeczny. Ich uczucie miłości dla ojca i żalu po nim przeniesione zostaje na totema (święte zwierzę, praojciec danego rodu), którego jednak boją się także i nienawidzą. Jednocześnie powstaje zakaz małżeństw w obrębie danego związku totemicznego — jako symbol wyrzeczenia się miłości ku matce. Oto seksualistyczny początek społeczeństwa, rodziny, etyki, religii, bo przecież totem przemienia się z biegiem czasu w bóstwo. Na tym samym tle skruchy z powodu kompleksu Edypa powstaje władza kapłańska i świecka, monarchia pierwotna z jej autorytetem, jako obiektywizacja, ucieleśnienie zewnętrzne naszej nad-jaźni. Dlatego czcimy władcę i kochamy go, jednocześnie zaś boimy się go i nienawidzimy. On reprezentuje dla nas zamordowanego w zamierzchłej przeszłości praojca i za pomocą władzy swej urzeczywistnia zakaz kompleksu Edypa. W każdym z nas tę samą funkcję spełnia **sumienie** — wytwór nadjaźni.

Jakiż jest związek tych fantastycznych pradziejów z życiem współczesnym? Oto freudowski grzech pierworodny zapoczątkował w naszej psychice t. zw. dwoistość uczuć (Ambivalenz der Gefühle). Istnieje w nas — indywidualnie i społecznie —pierwiastek twórczy, jednoczący — miłość (Eros) i pierwiastek negatywny t. zw. popęd destrukcyjny, niszczycielski, antyspołeczny, przejawiający się w żądzy śmierci. Dzieje ludzkości są areną wieczystej walki tych dwu popędów, siły Dobra i Zła. Istnieje wieczyste, nie możliwe do usunięcia przeciwieństwo między jednostką i społecznością. Walka odbywa się zarówno w naszym dwoistym wnętrzu jak i w życiu społecznym między jednostką a ogółem. Posłuchajmy Freuda:

(Rozwój kultury) „jest to proces w służbie Erosa, który poszczególne jednostki ludzkie, później rodziny, szczepy, ludy, narody usiłuje złączyć w wielką jedność — ludzkość. Dlaczego tak się dziać musi — nie wiemy. Jest to poprostu dzieło Erosa. Masy ludzkie mają być za pomocą libido (żądzy) związane w całość; sama konieczność, korzyści wspólnoty pracy, nie utrzymałyby tej jedności. Temu programowi kultury przeciwstawia się jednak wrodzony popęd zaczepny (Aggressionstrieb) człowieka, wrogość wszystkich przeciw wszystkim i jednego przeciw wszystkim. Ten popęd zaczepny jest po-

tomkiem i głównym przedstawicielem popędu śmierci, który znaleźliśmy obok Erosa i który dzieli z nim panowanie nad światem. I teraz, jak sądzę, treść rozwoju kulturalnego nie jest już dla nas nieznana. Musi on ukazać nam walkę między Erosem i Śmiercią, popędem życiowym i popędem niszczycielskim — walkę, która rozgrywa się w łonie rodzaju ludzkiego. Walka ta jest istotną treścią życia w ogóle...".

Ustęp ten (przytoczony z „Das Unbehagen in der Kultur") charakteryzuje całą historiozofię Freuda. Walka Erosa i Destrukcji! Poznajemy starych znajomych, którzy w różnych językach i mitologiach różnie się nazywali (np. po persku Ormuzd i Aryman), ale od niepamiętnych czasów walczą o panowanie na tym padole łez i płaczu, wydzierając sobie wzajemnie władzę nad nieszczęsną ludzkością. A wszystkiemu winien grzech pierworodny... kompleks Edypa.

„Nie jest w gruncie rzeczy istotne, czy naprawdę zamordowano ojca czy też powstrzymano się od tego czynu. W obu wypadkach czujemy się winni, gdyż poczucie winy jest wyrazem konfliktu dwoistości, wieczystej walki między Erosem i popędem niszczycielskim czyli popędem śmierci. Walka ta zaczyna się w chwili, gdy przed ludźmi po raz pierwszy stanęło zadanie współżycia; jak długo wspólnota ma tylko postać rodziny, walka ta musi wyrażać się w kompleksie Edypa, stworzyć sumienie, zrodzić pierwsze uczucie winy. W miarę rozszerzania się wspólnoty ten sam konflikt rozgrywa się dalej w formach, uwarunkowanych przez przeszłość... **Co się zaczęło na ojcu, trwa nadal w stosunku do ogółu...".**

Oto seksualistyczne podłoże konfliktów społecznych, istotna sprężyna wszelkiego buntu, walki politycznej itd. Winien jest popęd niszczycielski, odwieczny wróg dobrotliwego Erosa, twórcy kultury. Szatan nie kapituluje! Czai się w naszej duszy i pcha nas do walki o zniszczenie wspólnoty ludzkiej. A na dnie tkwi prastara żądza zamordowania ojca, który nie dopuszcza nas do matki...

Jakież wyjście z tego fatalnego splotu? I czy w ogóle da się ono pomyśleć? Freud pisze o socjaliźmie w taki sposób:

„Oczywiście, jeżeli walka ta (o socjalizm) chce się powoływać na abstrakcyjny (?) postulat sprawiedliwości, równości wszystkich ludzi, nasuwa się nieuchronnie zarzut, że przyroda przez nierównomierne wyposażenie fizyczne i duchowe jednostek stworzyła niesprawiedliwości, przeciw którym nie ma żadnego sposobu".

Skoro bowiem treść wszelkich konfliktów międzyludzkich ma charakter fizjologiczny i psychologiczny, zrodzony z biologicznego czynnika seksualizmu, to ludzkość skazana jest na wieczne trwanie w swym nieszczęściu i zaiste nie widać żadnego wyjścia z tego fatalnego stanu. Stąd niepokój naszej kultury, spotęgowany zwłaszcza w latach powojennego chaosu, gdy narzędzia mordu, narzędzia Destrukcji doskonalą się z każdym dniem, grożąc niedaleką zagładą rodzaju ludzkiego. „I oto należy oczekiwać, że druga „moc niebiańska", Wiekuisty Eros, uczyni wysiłek dla ostatecznego zwycięstwa w walce z swym równie nieśmiertelnym przeciwnikiem. Któż jednak zdoła przewidzieć wynik?".

Czy Szatan legnie w końcu pod ciosami Erosa? Nie wiemy. Takim pesymistycznym wydźwiękiem kończą się rozważania Freuda o kryzysie naszej kultury. Zresztą — wartość samej kultury jest w najlepszym wypadku wielce problematyczna. Freud wyznaje:

„Próbowałem wyzwolić się od entuzjastycznego przesądu, że kultura nasza jest najcenniejszym dobrem, które posiadamy lub możemy osiągnąć; że rozwój jej prowadzi nas nieuchronnie na wyżyny nieznanej doskonałości. W każdym razie mogę bez oburzenia słuchać krytyki, która biorąc pod uwagę cele wysiłków kulturalnych i środki im służące, dochodzi do wniosku, że cały ten trud nie opłaci się, gdyż prowadzi koniec końców do stanu, wręcz nieznośnego dla jednostki".

W słowach tych brzmi głębokie, pesymistyczne rozczarowanie do kultury i społeczeństwa. Ale nie jest to rozczarowanie warstw, reprezentujących wyższy ideał kulturalny, wyższą formę współżycia ludzkiego, warstw, powołanych przez historię do objęcia steru życia i pchnięcia go na nowe tory! Te warstwy nie potępiają kultury, przeciwnie — czują się jej stróżami i obrońcami przed niszczycielskim zalewem nowego barbarzyństwa. Środowisko, którego poglądy reprezentuje freudyzm, nie widzi natomiast żadnego wyjścia z dzisiejszego impasu. Może tylko bezsilnie złorzeczyć czasom, które nadeszły i których nie umie czy nie chce zrozumieć. Przerażone, przesłania sobie oczy i w bezładnej rozsypce pierzcha przed natarciem nowoczesnego Szatana, żywego wcielenia straszliwego „popędu destrukcyjnego". Rzeczywistość dzisiejsza jest przecież wynikiem biologicznej, seksualnej konieczności, której nie można się przeciwstawić, której nie można zwalczyć!

Ale freudowski „seksualizm dziejowy" jest tylko pozornie biologiczny. Freud rozciąga pojęcie seksualizmu na **wszystkie** więzy społeczne i kulturalne. I seksualizm jego ma charakter wprost już metafizyczny, staje się biologicznie udrapowanym mitem, jakąś nową, skrajnie antyracjonalistyczną teologią, której Eros, podniesiony nieomal do godności bóstwa, duch Światła i Dobra, walczy z antyseksualnym Szatanem — Siłą Destrukcji. Tylko, że niebiosa przeniosły się w nasze tajemnicze wnętrze, gdzie złowrogo czai się edypowy grzech pierworodny, gotowy każdej chwili do zamachu na naszą erotyczną duszę.

Hitlerowska mistyka rasizmu ma również pozory biologiczne. **Krew** jest w hitlerowskiej mitologii tym mistycznym czynnikiem kulturo-twórczym, istotną sprężyną działania ludzkiego, bóstwem nordyckiej religii. I jest Szatan, groźna siła Destrukcji — wieczny, apokaliptyczny Żyd. Biologiczna talmudystyka hitlerowskich „uczonych" wprowadza niejednokrotnie w błąd powierzchownych krytyków rasizmu, którzy w tej niesamowitej mistyce widzą jakąś odmianę... materializmu.

To samo nieporozumienie spotyka się często u zwolenników a także u reakcyjnych krytyków freudyzmu. I jedni i drudzy zwiedzeni biologicznymi pozorami tej seksualistycznej mistyki, widzą w nauce Freuda materializm. Jest to jedna z wielu omyłek naszych czasów.

Akcentując wsteczny charakter nauki freudowskiej, byłoby jednak grubym błędem dopatrywanie się w niej jakiejś odmiany faszyzmu. Freudyzm jest jedną z doktryn przedfaszystowskich, pesymistyczną ideologią niewiary w przyszłość naszej kultury. Jest raczej mistycznym przejawem załamania się abstrakcyjnego indywidualizmu mieszczańskiego, niż bojową doktryną zorganizowanej neoreakcji. Wyraża zwątpienie i znużenie środowisk, rezygnujących z czynnego wpływu na bieg historii, bezradny popłoch pewnych odłamów inteligencji kapitulujących bez walki przez faszyzmem. Bo jakże walczyć z biologicznym Fatum?

MICHAŁ JORDAN

Odpowiedzi redakcji

Panu F. L. w Warszawie: Rzecz bardzo spóźniona. O Konarskim już pisaliśmy.

Panu Lw. we Lwowie: Nie możemy drukować z różnych względów, a przede wszystkim dlatego, że nie podaje Pan swego nazwiska i adresu, chociażby dla wiadomości redakcji.

Poloniście w Lublinie: Właśnie w tym numerze zaczęliśmy druk fragmentów krytyki „Legendy". Opóźnienie wynikło jedynie wskutek nawału rzeczy pilnych i nawskroś aktualnych. Inne prace również zapowiedziane ulegają opóźnieniu z tej samej przyczyny.

Panu P. S. w Trzebini: Nie tylko zawodowi pisarze głos w tej kwestii zabierają. W jednym z najbliższych numerów włączy się do dyskusji np. nauczyciel polonista. Ale drukujemy tylko prace, które odpowiadają wymaganiom redakcji, prace każdego, kto ma coś istotnego do powiedzenia. Bronimy się jedynie od plagi grafomanów.

Pani A. J. w Mińsku Maz.: Nie skorzystamy. Radzimy Pani ze względu na wartość rzeczy przesłać do pisma pracowniczego, zawodowego. Za słowa uznania bardzo Pani dziękujemy.

Panu H. R. w Zgierzu: Miło nam powitać Pana jako jeszcze jednego prenumeratora dawnego „Społeczeństwa" wśród przyjaciół „Epoki".

Książki nadesłane

Wydawnictwa Księgarni **F. Hoesicka:**

Fr. M. T. Cieślewski: Ocalona. Powieść. Warszawa 1939.

Emil Zegadłowicz: Martwe Morze. Pamiętnik Jana w Oleju Zydla. Powieść. Warszawa 1939.

Halina Kamieniecka: Mrok wyzwolony. Powieść. Warszawa 1939.

A. Brózda i J. Rawicz: Tutaj spać nie wolno. Powieść. Warszawa 1939.

×

Czesław Straszewicz: Litość. Powieść o współczesnych Niemczech i Hiszpanii. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1939.

Czesław Wycech: Założenia ideowe Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa 1938.

Szlakiem wielkości. Odtworzony warsztat pracy konspiracyjnej J. Piłsudskiego w Łodzi. Nakładem Zarządu Miejskiego w Łodzi. 1939.

Władysław Wolert: Ziemia i lud w twórczości A. Dygasińskiego. Odbitka z „Ziemi". Inst. Wydawn. „Biblioteka Polska". Warszawa 1939.

Jan Cynarski-Krzesławski: Walka o szkołę na północnych kresach Państwa. Warszawa. Skł. głów. w Księgarni Hoesicka.

Zygmunt Wojciechowski: Polska nad Wisłą i Odrą w X w. Studium nad genezą Państwa Piastów i jego cywilizacji. Katowice 1939. Inst. Śląski.

Kazimierz Małecki: Mapa gospodarcza woj. śląskiego w podziałce 1:100.000. Skorowidz. Katowice 1938. Inst. Śląski.

Franciszek Surówka Brzegowski: Horyzonty. Poezje. Księgarnia Hoesicka. Warszawa 1937.

Franciszek Surówka Brzegowski: Legenda frasobliwa. Poezje. Księgarnia Hoesicka. Warszawa 1939.

Gaetan Pirou. Kryzys kapitalizmu. Przełożył **Rudolf Lessel.** Księgarnia Powszechna. Warszawa — Kraków 1939.

ROBOTNIK
CENTRALNY ORGAN P.P.S.

jest jedynym porannym pismem świata pracy, ukazuje się codziennie w objętości 6—12 stron druku. Przynosi: artykuły najwybitniejszych przedstawicieli socjalistycznych, korespondencje i wiadomości z całego świata. Jest psimem bogato ilustrowanym

Cena numeru 10 gr.

Pren. mies. zł 2.50

Adres redakcji i administracji:
Warszawa, Warecka 7 P.K.O. 175.

Robotnicze Towarzystwo Przyiaciół Dzieci — Oddział na Żoliborzu

SZKOŁY IM. BOLESŁAWA LIMANOWSKIEGO
przyjmują

ZAPISY

do Przedszkola, Szkoły, Gimnazjum

Kancelaria czynna codziennie prócz poniedziałków od godz. 9 — 11 ponadto we wtorki i czwartki od godz. 17 — 19

Dzieci członków Związków Zawodowych korzystają ze znacznych ulg w opłatach.

Wysokość opłat od członków organizacyj spółdzielczych przystosowano do zarobków.

Szkoła i Gimnazjum posiadać będą w przyszłym roku szkolnym powiększone i oddzielne lokale.

Demokracja polska
zawsze walczyła
i walczy obecnie
o przyszłość Polski

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 430 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.